DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań 1 kwietnia, 1888 r. — Nr. 10.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski" w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

Było to w końcu czerwca, w czasie największych upałów. Karolina smutnie pędziła długie prawie bez końca, pogodne dni letnie; blada, drżąca, jak w febrze, niezdolna zająć się czemkolwiek, całemi dniami nerwowo skubała szarpie, lub z gorączkowym jakimś pospiechem przeglądała listę umarłych, lub rannych.

Pewnego dnia wyczytała nazwisko jego między umarłymi i cios ten powalił zupełnie silną jej naturę. W tydzień po smutnej tej wiadomości otrzymała list od brata z doniesieniem, że ogłoszenie o śmierci Meinecka było pomyłką, ale że ten ostatni ciężko ranny znajduje się obecnie w Wenecyi.

Karolina, nie namyślając się ani chwili, tego samego wieczora wyjechała w towarzystwie starej swej służącej, bez rzeczy, nie uwiadomiwszy prawie nikogo, do Wenecyi. We dwa dni później, wsparta na ramieniu brata, drżąc ze wzruszenia, wchodziła do pokoju rannego.

Leżał na poduszkach, blady, wychudły, z potarganym włosem i zapadłą twarzą, za słaby, aby się poruszyć na widok Karoliny — uśmiechnął się tylko.... błogo, rozkosznie.

Miała na sobie skromny, podróżny ubiór, na głowie wielki, czarny kapelusz z długiemi, zwieszającemi się piórami; przy wejściu do pokoju zdjęła go z głowy i przystępując do łóżka rannego, odezwała się stłumionym głosem:

— Nie przybyłam tu jako gość, tylko jako siostra miłosierdzia i pozostanę dopóty, dopóki pan zupełnie uleczonym nie będziesz!

Słabym, ledwo dosłyszalnym głosem odparł cichutko:

— Do zdrowia jednego tylko potrzeba mi wyrazu, och! nie zwlekaj dłużej i wypowiedz go — dodał błagająco.

Następiła chwilka wahania; wreszcie Karolina, pochyliwszy się nad łóżkiem chorego, szepnęła upragnione słowo i złożyła gorący pocałunek na wybladłych jego ustach ...

Żadne inne pożycie małżeńskie nie zaczęło się chyba w poetyczniejszy sposób, niż ich dwojga, i ktożby to był przypuścił, widząc ich po dziesięciu latach wspólnego pożycia!... Pomimo troskliwych starań Karoliny Meineck leżał ciągle śmiertelnie chory i dwaj lekarze, których się radziła co do stanu jego zdrowia, wyrzekli jednozgodnie, że ranny nie jest do wyleczenia. Energicznie pokonując wszelkie trudności, poślubiła nieprzytomnego prawie Meinecka, aby, nie krępując się odtąd żadnemi względami, módz go pielęgnować, a w ostateczności i przygotować na straszliwą godzinę śmierci.

Po upływie dziesięciu tygodni lekarze wyznali, że przypuszczenia ich były mylne; chory nietylko uszedł śmierci, ale całkowicie odzyskał utracone siły. W początkach października młoda para udała się w podróż poślubną do Czech, do starego młyna w Calow, gdzie miodowe miesiące spędzić postanowili, bo Franciszek Meineck — na wskroś poeta — uważałby za profanacyą żonę swoję od jednej do drugiej obwozić oberży.

Okoliczni wieśniacy widywali ich często, jak w chłodne dni październikowe odbywali dalekie przechadzki w poblizkim lesie, na wpół już z liści ogołoconym. Ona — co przedtem tak dumnie głowę do góry podnosiła, szła teraz kornie schylona, jak gdyby nadmiar szczęścia przygniatał jej siły.

Niezmordowani i niezniechęceni niczem zwiedzali stare chłopskie mieszkania, wyszukując w nich zaniedbane pamiątki przeszłości; na drzewami ocienionym cmentarzu wybrali sobie zaciszny kącik, gdzie kiedyś snem wiecznym obok siebie spocząć mieli. O szarej godzinie siadywali w dużym, pustym prawie pokoju, w którym on niegdyś prosił o jej rękę i gdzie teraz na miejscu uczonych ksiąg i zwojów papieru stały wspaniałe bukiety kwiatów, wychylających swe główki ze wszystkich kątów pokoju. Zwolna kwiaty traciły zapach i świetne jesienne barwy; z astrów opadły listki, zielone gałązki jedliny zczerniały, a w sercach młodej pary powstało smętne jakieś uczucie — uczucie nadmiaru szczęścia!.....

Ręka w rękę, siedząc przy kominku, opowiadała Lina młodemu małżonkowi o owej ciepłej, marcowej nocy,

w której wesoły szum strumyka oznajmił jej o nadejściu wiosny.

. . . .

— Wierzcie, albo nie wierzcie mi — mawiał często Meineck w późniejszych latach z gorzkim na ustach uśmiechem — należałem do tych wyjątkowych ludzi, którzy się ani minuty w czasie trwania miodowych miesięcy niemi nie znudzili.

Wstąpił na nowo do wojska, bo żona nie chciała nawet słyszeć o tem, aby dla jej osobistej wygody miał poświęcić karyerę. Kiedy jej zrobił propozycyą wzięcia dymisyi, odparła, obejmując go za szyję:

— Z bezczynnością nie byłoby ci do twarzy, a ja chciałabym być dumną z ciebie; mnie samej w życiu jedno więcej przybyło zadanie — dodała z uśmiechem — obowiązek uszczęśliwienia cię.

On, nie dowierzając, czy tak wielkie szczęście istniało na ziemi, pytał sam siebie, czy to nie anioł z nieba zstąpił doń na ziemię, ażeby go przytulić do serca i to życie w raj mu obrócić? Że nie była tak potulną i jedynie na jego zdaniu polegającą, jak inne kobiety, że czasem odezwała się w niej dawna szorstkość i stanowczość, to tylko podnosiło jej wartość w jego oczach.

— Kobieta i koń powinny posiadać dużo skłonności do uporu — mawiał często — inaczej nie robią drugim przyjemności!

Pożycie małżeńskie dziwnie podniosło jej urodę; trochę za ostre rysy złagodniały znacznie, posiadała młodość i wdzięk dwudziestopięcioletniej dziewczyny. Ogólnie mówiono, jak niezwykle piękną i ujmującą była żona Franciszka Meinecka, chociaż z drugiej strony twierdzono, że i on zyskał na tem małżeństwie, bo wszystkie szlachetne strony jego charakteru uwydatniły się jeszcze pod wpływem szczęścia.

Żona pracowała nad tem moralnem ulepszeniem z wytrwałością, jaką chyba miłość dać może; z dziwną umiejętnością starała się w dziełach czytanych, lub w prowadzonej rozmowie wybierać temata, któreby jego najbardziej zainteresować mogły; to, czego on nie podzielał, i dla niej nie miało powabu.

Śmieszną i niestosowną rzeczą wydawało jej się w tym wieku grać rolę naiwnej kochanki; chciała być troskliwym przyjacielem i wesołym towarzyszem, psując przytem męża tysiącznemi, drobnemi oznakami przywiązania sto razy więcej, niżby to była robiła młodsza i więcej kochająca żona, obracając cały zasób posiadanych zdolności na upiększenie i uprzyjemnienie mu życia.

Niewiele bywali w kołach towarzyskich, ale pociągani uprzejmością i gościnnością Karoliny towarzysze broni licznie odwiedzali dom Franciszka Meinecka; pułk cały uwielbiał młodą jego żonę, począwszy od kadetów, kończąc na wyższego stopnia wojskowych.

Kobiece grono jednozgodnie protestowało przeciw temu uznaniu:

— Jakichże sposobów używa ta *bas bleu* — pytały między sobą — że posiada względy każdego mężczyzny? Gdzież się to szczęście podziało? Znikało powoli, jak niknie śnieg, okrywający ziemię!

— Znam siebie — odpowiedziała mu — kiedy prosił o jej rękę i wiem, że słabość moja minie, a szał twój pryśnie.

Ale szał jego trwał dłużej od jej słabości.

W piątym roku ich pożycia urodziła się druga córeczka Stella i przyjściem swojem na świat podkopała zdrowie matki. Mąż otaczał ją wzruszającą troskliwością, ale te jego starania prędzej przykre, niż przyjemne wrażenie na niej sprawiały. Nienaturalnie prawie rozbudzona namiętność jej serca rozpraszała się powoli, iluzye rozwiały się tak, że z tego bożka, którego jej fantazya w długich, zimowych. samotnie spędzanych wieczorach sobie wymarzyła, zrobił się zwyczajny, nic nieznaczący, dobry człowiek, z którym pożycie stawało się nieznośne, którego czułości były uciążliwe i męczące.

Nadeszła nowa wyprawa wojenna; Karolina przy pożegnaniu szczerych kilka łez wylała; podczas krwawych bitew, o których z gazet szczegóły czerpała, męczyły ją gorzkie wyrzuty sumienia, poczucie własnej winy, ale kiedy podpisano pokój, nie zatroszczyłaby się choćby i nieobecność Meinecka trwała *ad infinitum*. I kiedy Meineck po półrocznej nieobecności powrócił do domu, żona miała na sercu i sumieniu „Rozprawę o don Juanie d' Austria“, napisaną podczas pobytu męża na placu wojennym i od tej chwili koniec miłości i szczęścia zbliżał się szybko.

Gdyby dom rodzinny zachęcał go do ciągłego w nim przebywania, byłby może unikał, jak sam mówił, „rzucenia się w objęcia dyabła“. Ale, niestety! biedak z dniem każdym czuł się pod własnym dachem więcej osamotnionym, prawie obcym; żona, nie ukrywając bynajmniej, że obecność męża była dla niej ciężarem, nie starała się zatrzymywać go w domu.

Najgorsze strony jego natury wychodziły teraz na jaw; nie widział on już potrzeby nadal się z niemi ukrywać.

Promieniem słonecznym, rozweselającym smutne dni jego, była dlań młodsza córeczka, Stella; ze starszą nigdy nie mógł się zgodzić, odziedziczyła wszystkie kaprysy matki, nie posiadając tejże wybitnych zdolności.

Mała Stella była dlań skarbem prawdziwym; nie miała jeszcze roku, kiedy towarzysze Meinecka rzadziej wprawdzie, ale jeszcze od czasu do czasu przychodzili do domu tego ostatniego na wykwintne, wesołe kolacyjki. Jeżeli jeszcze nie spała, ojciec brał ją na ręce w białej, haftowanej koszulce i nocnym czepeczku i niósł do salonu pokazać ją gościom. Podawała wszystkim grzecznie i bez płaczu rączkę, ale nie dała się nigdy nakłonić do opuszczenia ramienia ojca. Uszczęśliwiony Meineck pieścił i całował Stellę, a przyjaciele jego zachwycali się śliczną córeczką gospodarza.

Kiedy powracał do domu po skończonych ćwiczeniach wojskowych, na progu spotykał oczekującą go Stellę. Zimową porą, kiedy śnieg padał na dworze, ostrożnie dotykała zwilżałego oficerskiego płaszcza i poczuwszy śnieg, odsuwała się z komicznym przestrachem, wołając ze śmiechem:

— Och! ojczulku, czy ty żyjesz jeszcze, czyś już zmarzł, jeżeli masz śnieg na sobie?

On brał ją na ręce i przyciskał do piersi:

— Tu ciepło, myszko, nieprawdaż?

I podczas kiedy Stella małemi rączkami silnie obejmowała go za szyję, on rozpinał guziki swego płaszcza....

Kilkanaście lat upłynęło od tego czasu, a Stella pamiętała jeszcze te szczęśliwe chwile, kiedy ją ojciec ogrzewał u kochającego swego serca, a gruby żołnierski płaszcz oddzielał od reszty świata.

Co za radość sprawiło Stelli ofiarowane przez ojca pudełko z dużemi, malowanemi literami, więcej dla zabawy, niż nauki służyć mającemi. Nieustannie męczyła i prosiła ojca dopóty, dopóki nie pokazał jej wszystkich liter i pomógł układać słowa. Szczególniejszą przyjemność miała w wymyślaniu długich, niezrozumiałych dla siebie wyrazów i jednym z pierwszych, które, siedząc ojcu na kolanach, przy jego biórku ułożyła, było: „fosforowa esencya“.

Meineck opowiedział o tem, śmiejąc się, towarzyszom swoim w rajtszuli; biedny człowiek! wstydził się skrycie swego domowego pożycia, w którym sam tak mało znaczącą grał rolę, a nie chcąc i nie wiedząc, o czem mówić, opowiadał... o dziecku.

Rozprawę jego żony o „Don Juanie d' Austria“ wydrukowano w „Globusie“ i na nieszczęście wzbudziła ogólne zainteresowanie się. Jeden z krytyków porównał świetne jej zwroty stylowe z piórem Macaulaya i od tej chwili baronowa Meineck przerwała ostatnią nitkę interesu, jaki dla domu i rodziny jeszcze żywiła. Powodzenie tego artykułu zawróciło jej głowę, przypomniała sobie, że gdy była

jeszcze panną, zapewniano ją, że gdyby tylko zechciała popracować trochę, przewyższyłaby George Sand piórem, Klarę Schuman muzyką, a Rachel Felix, debiutując na scenie. Tak, gdyby zechciała..... a teraz nadeszła ta chwila! Opracowywała każdą gałąź literatury, nadużywając przysłowiowej cierpliwości papieru; zarysy dramatów, romansów, pamfletów politycznych, historyczne rozprawy, wszystko to kreśliła w gorączkowym nieporządku — nie napisawszy nic zrozumiałego, nic przynoszącego najmniejszego pożytku. Ona sama, niezadowolona z tych utworów, przypisywała tę nieudatność domowym stosunkom i wspólnemu z Meineckiem pożyciu, zamiast szukać w niedostatecznych swoich zdolnościach jedynej, rzeczywistej przyczyny. Opanowana demonem ambicyi, odsunęła się od wszystkiego, coby jej czas zabrać mogło, lub przeszkadzało oddać się całkowicie tym uczonym, bezowocnym kaprysom.

Zerwawszy ze światem wszelkie stosunki, dom swój zamknęła zupełnie, oświadczywszy mężowi, że jeżeli nie może się obyć bez towarzystwa znajomych i przyjaciół, w takim razie zostaje mu tylko kasyno do widywania się z nimi.

Nierząd domowy zwiększał się z dniem każdym; Meineck po długiem wahaniu odważył się wreszcie zwrócić na to uwagę genialnej swej żonie. Odtąd codziennie prawie przychodziło do cierpkich uwag i gorzkich wyrzutów, bo Meineck pedantyczny prawie lubiąc porządek i czystość całego swego otoczenia, brzydził się i truł nieładem domowym.

— Mój Boże! mawiał często do żony z gniewem, ktożby wytrzymał w tych zakurzonych pokojach z poroztwieranemi szafami i komodami, gdzie wszystko leży, jak groch z kapustą; komuby się nie brzydziła brudna, niedbała służba, niesmacznie podane obiady i dzieci, nieporządnie ubrane?

Przychodziło do gwałtownych scen, podczas których Meineck krzyczał ochrypłym głosem i w napadzie gniewu chwytał za krzesło, lub inny jaki przedmiot i rozbijał o ścianę. Żona jego, przeciwnie, siedziała nieporuszona przy biórku z piórem w ręku, rzucając od czasu do czasu jaką zimną, zjadliwie wypowiedzianą uwagę, z westchnieniem oczekując wyjścia z domu męża, to jest chwili, w którejby bez przerwy pracować mogła.

Od czasu do czasu przychodziły krótkie, niestety! chwile, kiedy, odrzucając pióro, starała się przyprowadzić do ładu domowe gospodarstwo, kiedy ubrana gustownie siedziała przy czysto nakrytym stole i smacznie podanym obiedzie. Pogodne te dni, krótko, niestety! trwające, uwydatniały dziwnie wrodzoną jej uprzejmość; starając się wszelkiemi siłami zadowolić swoje otoczenie, w jednej chwili zmieniała smutny domowy stosunek na najszczęśliwsze rodzinne pożycie. Widząc podobną zmianę, Meineck wyrzucał sobie gorzko niedelikatne z żoną postępowanie, i chcąc to złagodzić, obsypywał ją pieszczotami i podarunkami, naturalnie o tyle, o ile na to pozwolić, lub przyjmować zechciała. Skoro jednakże zaczynał wierzyć w trwałość podobnej, korzystnej zmiany, znikała ona natychmiast, ustępując miejsca dawnej, smutnej rzeczywistości.

Z czasem te krótkie odbłyski szczęścia minęły bezpowrotnie, szczególniej od chwili, w której Karolina doszła do przekonania, że literacka jej karyera nie postępuje naprzód tak szybko, jakby się tego po ogólnie chwalonej rozprawie o „Don Juanie d'Austria" spodziewać należało. Jak już raz wspomnieliśmy, nie szukała przyczyny w niedostatecznych zdolnościach, twierdząc, że to domowe pożycie krępuje jej geniusz i fantazyą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Błędne ogniki.

Spojrzyj w górę, moje dziecię,
Ujrzysz gwiazdy na błękicie,
A na dole, tam — na łące —
Drżą światełka migające!
Równie one miłe oku,
Czarownego są uroku;
Lecz rozważyć dobrze trzeba,
Co jest z ziemi, a co z nieba!....
Ziemskie dołem ciągle krążą,
I nie wiedzą, dokąd dążą;
Nie bierz przeto za sternika
Błądzącego tak ognika. —
W błękit uleć duszą młodą
I te światła niech cię wiodą,
Które stoją niewzruszone,
Gdzie przez Stwórcę zawieszone. —
Swej mądrości wśród przyrody
Wszędzie daje On dowody;
Ziema prawdy te ukrywa,
Morze szumem o nich śpiewa;
Lecz, by dostrzedz je, potrzeba
Ściągnąć w głębię światło z nieba.
Choć stać będziesz więc na ziemi,
Tu, pracując dłońmi swemi,
Wzrok swój przecież wznoś do góry,
Z anielskiemi śpiewaj chóry:
„W wysokościach Bogu chwała
Wszechpotężna, wiecznie trwała!
Pokój ludziom dobrej woli!"...
. . . .
Może wreszcie Bóg dozwoli
Spocząć po tej pracy krwawej,
Po tej doli tęschnej, łzawej!

Marya K. z Q.

LIST
Władysława Syrokomli
do Augusta Wilkońskiego.*)

przez Nieśwież, Mir,
Załucze dnia 4/16 lipca 1851.

Zacny Panie Auguście!

Niegodziwie wypłacam się za nieocenioną Twą dobroć, gdy list Twój pozostawiam bez odpowiedzi przez trzy miesiące. Podroże, praca, niezdrowie, nadzieja zawiedziona,

*) Autograf Listu tego otrzymaliśmy w darze od jednego z przyjaciół - literatów, za co Mu tutaj serdeczne składamy podziękowanie. Że zaś zawiera cenne, bo przez samego autora „Margiera" z własnego życia skreślone notatki, przeto sądzimy, iż pożądanem będzie dla Szan. Czytelników „Domu polskiego" zapoznać się z jego zajmującą treścią. W tym celu bez najmniejszej zmiany wprost z autografu ogłaszamy „List" w całości. (P. R.)

że Was w Warszawie odwiedzę, przykre wrażenia, jakie się od kiepskiego świata odbierały — oto przyczyna, dla której moi dobrzy korrespondenci musieli tęsknić (sic) tak długo za mojemi listy. Teraz zato wynagrodzę sobie dobrowolnie zaniedbaną przyjemność, a Wam, zacny Panie, aż do uprzykrzenia gadatliwe listy posyłać będę. A naprzód poznajomić nam się lepiej wypada.

Wielkie serce, złoty humor, przygody życia Twojego, to wszystko było mi już nieco znane z „Ramotek,“ z opowiadań Kraszewskiego i Xawerego Bluma (ucznia Agronom. Instyt. w Marymoncie), mojego teraz sąsiada. Teraz w Mińsku poznałem się z Dybowskim agronomem, dobrym Twym znajomym, który uprzyjemniał mi cały wieczor opowiadaniem o Tobie, Twej małżonce, niedawnej przygodzie Twej itd. Do tylu danych dodawszy mój instynkt poetycki, cóż za dziw, że Was poznam w gromadzie tysiąca ludzi. Pozostaje mi teraz zaspokoić Twoję chęć dowiedzenia się o mnie, moim domu, dziatwie. Oto urodziłem się w r. 1822., odbyłem wychowanie w szkołach prowincyonalnych, potem wałęsałem się po drodze żywota lat kilka, potem się w r. 1844 ożeniłem, jednoczasowie wziąłem w rękę to oto pióro, (szczęście moje.. zgubę moję!) i osiadłem stale na wsi, dzierżawiąc od X^cia^ Wittgensteina Załucze. W przeciągu tych lat ośmiu Bóg dobry dał mi napisać z dziesiątek tomów, udarował trojgiem dzieci, i 350^u^ rublami srebrnemi czystego zysku z honorariów xięgarskich, które składają cały mój majątek; bo reszta mych kapitałow w pracy, nadziei, gruszkach na wierzbie i. t. p zabezpieczeniach, w tej chwili nie jest do zrealizowania na gotowiznę. Żyjemy w ciszy, z xiążkami, z kwiatami, z dziatwą, z dobrymi ludźmi, i ze świętą golizną, którą pojmuję z jej wdzięcznej, poetycznej strony tak dalece, że ile razy fortuna drogą sukcessyi po wujaszku, lub sowitszego honorarium, błyśnie mi przyjazniej w oczy, staram się korzystać z jej darów zawzięcie, aż nie wrócę do mojego normalnego stanu finansów, do zera, które jest figurą globu, symbolem wieczności, aureolą mojego oblicza, czarodziejskiem kołem (circulus vitiosus), w którego środku stoję bezpieczen od pokus, pychy, egoizmu, lenistwa. Z konieczności tedy jestem cnotliwym, lubo niektóre grzeszki, a przedewszystkiem święte lenistwo, bardzo się ponętnie do mnie uśmiechają. Nieraz wyobrażam sobie, że jestem wielkim panem, nic nierobię, jeno, leżąc pod cieniem klonu, z hawańskiem cygaro, czytam od poczty do poczty gazety, żurnale, romanse; a jeżeli raczę pióro wziąć do ręki, to tylko dla pisania miłych dla serca, przyjaznych listów. (o! wtedy miałbyś Pan co tydzień list odemnie) tylko dla wylewania na papier poetyckich pomysłów. Jakie to marzenia nieraz się do mnie wdzięczą, ale nic z tego.. wiem, czyje to figle.. *Spiritus!* i za dykcyonarz łaciński, i do pracy, a duch-kusiciel znika. Ale wracam do dalszego kreślenia obrazu mojego żywota. Żona moja, kilku laty młodsza odemnie, z całą rezygnacyą znosi swą godność żony poety, i w dobrej wierze upaja się dymkiem chwały swojego mężula. Wprawdzie wymyka się, jak może, ilekroć z jakim gotowym utworem staję dla odczytania go, ale raz złapana gotowa cierpliwie wysłuchać, a nawet sama deklamować moje gawędy; tego tylko w głowie pomieścić niemoże, dla czego pisarz tak wzięty, tak *pochwalony,* tak małe bierze honoraria. Trudna na to odpowiedź.. słusznie czy niesłusznie, trzeba jęczeć na chciwość nakładców, bo inaczej we własnym domu zachwieje się wiara w potęgę mojego talentu; dalszemi personażami naszej rodziny są: córka Marynia, panna lat 4½, dobrze już składająca syllaby, — syn Władysław, 3 letni kawaler, rokujący, iż z laty będzie ozdobą mirskich jarmarków dla zamiłowania koni, psów, biczow, a na ostatek, półroczne niemowlę Wiktorya, wzór łagodności, ciszy i słodyczy charakteru — Otoż wśrod tych osób rozegrywa się dramat mojego życia. Rzecz dzieje się na wsi, w moim gabinecie do pracy, albo w ogródku kwiatowym, na drugim planie widać kuchnię, z której wrzaski przeszkadzają mi pracować i marzyć, stodołę, co mi niedaje chleba — *i Ojciec Niemen, pasterz mnogich łodzi,* którego kryształowa fala niewyczerpanie udziela się do herbaty, co jej taką massę pochłaniam. Słowiki nadniemeńskie z towarzyszeniem chrapliwego chruściela śpiewają mi w antraktach — oto ze wszystkiemi dekoracyami teatr, gdzie się moja dramma odegrywa. Kurtyna się zwija..

Sza!! uroczyste milczenie..
Patrzajcie, zdumione ludy!
Oto poeta na scenie,
Zgarbiony, blady, i chudy!
Ubrany w kapotę starą,
Zwolennik myśli i ducha,
Pióro mu sterczy zza ucha,
W ustach groszowe cygaro.
Ręce krzyżuje u łona,
Pierś atramentem zbroczona...

Skinął i stanął, jak wryty,
Wzniosła się orla zrzenica,
Mierzy niebieskie błękity,
Gapi się w tarczy xiężyca.
Jak Hamlet spojrzał ukosem,
Smieje się, zżyma się, sroży,
Sza!.. coś zamruczał pod nosem,
O! arcydzieło utworzy!
Bije myślami śmiałemi
Szturm do nieba i do ziemi.

Coż to? dla czego twarz młoda
W fałdy gniewliwe się zbiera?
Rymu skalista przegroda
Wstrzymała pęd bohatera..
Chce mówić i głos podnosi,
Lecz mu coś więźnie we krtani,
Wieszcz się z końcówką tarmosi...
Plaudite, cives Romani!

Oceniam szlachetne pobudki wdzięczności, któremi powodowany niechcesz, abyśmy z przekąsem mowili o Rzew., ale nigdy nieuwierzę, abyś miał podzielać jego religijno-socyalne zasady; owszem każdego, ktoby coś podobnego przedemną dowodził, wyzwę na rękę. Dla dobra Waszego Dziennika proszę, zaniechajcie wywoływać kwestye *zadaniowe;* młodzież niewytrzyma, wyrwie się z refutacyami, które zaprowadzą krytyków tam, gdzie Ant. S., wywołają prześladowania, jak te, których doznali nasi kijowscy Gwiazdziści Mając za sobą *jus gladii*, pytam, czy to delikatnie, czy sumiennie drażnić biedną zwierzynę, aby sama szła do sieci? Ile słyszałem o Was obu, niewątpię, że Pan August wywiera wpływ na Hr.; niech go uprosi, aby niegrał z powszechnem oburzeniem, dowodząc rzeczy, na które nikt się dziś pisać niemoże. Składacie jednę redakcyą; wszakże pewnego rodzaju solidarna odpowiedzialność ciąży na wszystkich członkach ciała. Czy płodne, genialne pioro Autora Soplicy niemoże się zdobyć na co innego, jak na wiekuiste piosenki z Bejłowskiego tematu? Przebacz mi te uwagi, które idą ze szczerego serca, z miłości prawdy. Żegnaj i kochaj mię.

S y r o k o m l a.

Całem mojem domowem gronem zasyłamy Państwu uprzejme, życzliwe powitanie, i polecamy nas dobrej Ich pamięci.

S y r o k o m l a.

Nowe wydawnictwa warszawskie.

Do warszawskich nowości wydawniczych należy książka, p. n. „Światła i cienie,“ poświęcona kobietom polskim przez wydawców. Na 267 stronnicach mieści się 19-cie utworków, napisanych przez 19-stu autorów; znajduje się tam także 9 ilustracyi. Pierwsze to wydawnictwo tego rodzaju w Warszawie.

Dygasiński opowiada dykteryjkę o panience brzydkiej, a córce pięknej, eleganckiej mamy. Panienka ta z rozpaczy nad swą brzydotą zapala na sobie suknie przed rautem.

M. Gawalewicz dał sympatyczny obrazek z życia zakulisowego. Mimi nie jest „kapłanką sztuki,“ poświęcającą wszystko i wszystkich dla swego bożyszcza t. j. dla własnej ambicyi, kocha kolegę i wychodzi za niego za mąż. Życie zakulisowe, odmienne od życia salonów dobrze jest skopiowane.

Janko Leliwa opisał romans kotów na dachu.

Bohater p Jul. Łętowskiego ma pasyą uczenia ptaków wedle pozytywki. Wnuczek jego, zmuszony kręcić korbą całemi godzinami, znudzony rozpaczliwie tym przymusem, rozbija narzędzia męki, a stary ze zmartwienia umiera.

Pani Marrenowej przyszedł niezły pomysł do głowy. Jéj „świekra,“ nudząca się w domu dzieci, z nudów marudząca często, przyjmuje obowiązek płatny w sklepie pożywczym u znajomej; tym sposobem kończą się swary domowe.

Fr. Rawita opowiada dzieje wyrzuconej z mieszkania rodziny za nieopłacone komorne.

A. Sęk dał sylwetkę panienki, zwanej „kotkiem,“ której rodzice trzymali uczniów na stancyi; umizgi dziewczęcia przywabiały pensyonarzy.

J. Ursyn na 9-ciu stronach dał aż trzy obrazki.

1. „U stóp Madonny“ podrzuciła matka swe dziecię.

2. „Gaweł“ był garbuskiem; czas przepędzał zwykle na ulicy, od innych uliczników zwany był pospolicie „panem Gawłem.“ Razu pewnego wyciągnął staruszkowi pierścień z rynsztoka i w nagrodę dostał srebrną czterdziestówkę. Inni chłopcy chcieli mu wydrzeć ten skarb, biedak bronił go, jak mógł; w walce uderzony nieszczęśliwie w skronie, padł trupem.

3. „W ostatniem południu“ autor opowiada myśli umierającego starca na chwilę przed zgonem.

Jadwiga W. w „Walce z sercem“ opowiada dzieje panny Henryki, zakochanej w żonatym kuzynku; szlachetna dziewczyna walczy z uczuciem, a nawet po śmierci żony ukochanego nie chce mu oddać ręki. Wdowczyk jednak szybko się pociesza po stracie jednej i drugiej, żeniąc się z trzecią.

St. Wężyk opowiedział dzieje „Literata,“ który rozpoczął zawód jako postępowiec, potem został konserwatystą, następnie chwycił się reporterki, jako najintratniejszego zajęcia, a w końcu grywał na skrzypcach w jakiejś podrzędnej restauracyi. Temat to na kilkotomową powieść, wyciśnięty tak do minimalnej krótkości, budzi niesmak.

Pani Śniczko-Zapolska poznała na statku „Małkę“ córkę rodziców sfanatyzowanych żydów. Młoda dziewczyna czytywa książki polskie; z nich poznała życie polskich rodzin, które wydało się jej rajem. Tymczasem matka zaręczyła ją z odpowiednią partyą. Biedna Peri rwała się do raju, zamkniętego dla niej, z tęschnotą namiętną.

Michalina Zielińska opowiedziała historyą biednej Juli, półidyotki, poniewieranej przez ludzi, wyzyskujących jej niedołęztwo na swą korzyść. W dzień św. Julianny postawił ktoś doniczkę z kwiatkiem na otwartem oknie suterény. Dziewczyna ze zdumienia utraciła resztę rozumu; daremnie zadawała sobie pytanie, ktoby mógł postawić różę kwitnącą w oknie? — odpowiedzi nie znajdowała. Wtem córka państwa majstrów, u których Jula służyła, poddała myśl, że to z powodu imienin kwiatek dostał się Juli. Myśl ta czepiła się głowy biednej idyotki i rozbudziła marzenia o kochanku. W tejże kamienicy w suterenie naprzeciwko mieszka szewc, wdowiec, niegdyś porządny człowiek, dziś zapijający sprawę, przeto sieroty jego bywają często głodne. Jula karmiła niekiedy resztkami jedzenia owę dziatwę. Otoż nikt inny, tylko wdzięczny ojciec postawił różę na oknie. Dziewczyna, stojąc nad balią, marzy o tym temacie rozkosznie. Troszczy się już o wesele, kto je wyprawi itd. Wtem drzwi się otwierają i podpiły sąsiad-szewc, wdowiec, przedmiot marzeń Juli, wpada, obcesowo biorąc się do Zosi, córki państwa majstrów. Panna mile przyjmuje zalecanki, ale matka jej stawia się ostro, przychodzi do wyjaśnień, z których pokazuje się, że doniczka z kwiatem przeznaczoną była dla Zosi, a nie dla Juli. Rozgniewany konkurent chwyta wazonik i rozbija go, a z nim razem rozpryskują się marzenia Juli.

P. Wł. Zieliński dał opis polowania za Stefana Batorego.

Wybór wierszyków jest dość dobry.

Na końcu wydawcy tłomaczą cel książki chęcią poznajmienia czytelników z różnymi autorami. Trudno jednak przyszłoby wydać sąd o talencie z tych drobnostek; cel ten uważam za chybiony, ale książka mogła zapełnić jeden z długich wieczorów zimowych, może też zastąpić dawniejsze opowiadania kominkowe, nadaje się przytem do głośnego czytania przy młodych osobach. Choć wieczory zimowe mijają, to i w ciągu lata znajdują się chwile samotności, choćby w altanie ogrodowej, lub gdzie na ustroniu do zapełnienia czytaniem.

Julian Łętowski, autor „Izraela na puszczy,“ wydał także książkę z drobnostkami literackiemi. Są tam rzeczy dość udatne, jak: „Imieniny Marcinka“ i „Josek Gesundheit.“ Treści nie można powtórzyć, bo składa się ona z tysiąca szczegółów i szczególików, dobrze podpatrzonych i owianych ciepłem serdecznem. Nie masz też w nich ani założeń społecznych, ani zagadek psychologicznych. Książka nosi napis: „Bohaterowie tegocześni;“ ktoż są ci bohaterowie? Marcinek terminator u szewca, robotnik kolejowy, żydek, subjekt handlowy. Marcinek jest dzieciakiem niezłym, lubi się wałęsać po mieście, w dzień imienin używa tej przyjemności do syta, za co, przyszedłszy do domu, dostaje w skórę od majstra. Robotnikowi przyszło dziecię na świat, i nakrzyczawszy się przez parę godzin, umarło, a biedny człowiek, niosąc trumienkę na cmentarz, robi uwagę, że też ten pan Jezus tak dobry robi czasem ludziom, jakby na złość; przyszło to na świat, narobiło kosztów i biedy ludziom, nakrzyczało się i już tego nie ma.

Josek Gesundheit, sprytny żydek, używa rozumu na oszukiwanie i wyzyskiwanie drugich; rozpoczął od kilku groszy, a skończył na tysiącach rubli i pojechał do Ameryki.

Do nowości zaliczyć również trzeba dwa tomiki p. Adolfa Dygasińskiego p. n. „Z pól, lasów i sioł.“ Są to drobnostki, drukowane dawniej po różnych czasopismach, obecnie zebrane w całość.

„Jazda ze Ziurdanką“ jest to opis podróży guwernantki francuzkiej, p. Jourdan, którą chłopi przezwali „Ziurdanką.“ Podróż ta pełną była przygód dość trudnych do uwierzenia. Czy podobna bowiem uwierzyć, aby wstawiono wanienkę, napełnioną wodą i rybami do powozu i aby Francuzka wsiąść do takiego powozu zechciała? W tymże powozie umieszczono kota żywego, który zabrał się do zjedzenia ryby, nakoniec krowa, wyprzątająca powóz z resztek zapasów spiżarniowych, obok śpiącej guwernantki, także wydaje się nieprawdopodobną.

„Na zwłokach zwierzęcia“ przykre obudza uczucia, a grzeszy także przesadą. Ludzie, walczący o kawałek padliny z psami, rodzą wstręt w czytelnikach. Lud nasz jada

mięso chorego bydlęcia, ale bydle to musi być koniecznie dorznięte; na padlinę łakomią się tylko wyjątki bardzo rzadkie i pogardzane z tego względu przez ogół.

„Żerty chłop“ jest najsympatyczniejszym z pomiędzy obrazków. Bohater Opozda je za dużo, i dla zaspokojenia wiecznie trapiącego go głodu przestępuje często przykazanie siódme, ale jest niezłym człowiekiem i czytelnik lituje się nad nim i nad jego żoną, biadającą wiecznie nad apetytem męża i nad ogłodzonemi dziećmi. Opozdzina ma już nawet coś z uczuć ludzkich w sobie, wstydzi się za nieprzyzwoitość mężowską, gdy inni bohaterowie p. Dyg. kierują się zawsze najgrubszemi, zwierzęcemi instynktami.

W „Na niebie i na ziemi“ gromada ludzi pospołu z psami wyczekuje jedzenia, tymczasem rozmawia o gwiazdach.

Chodzący z książką do kościoła Matusiak opowiada, że w kalendarzu widział, jako gwiazdy są to różne zwierzęta, zawieszone w powietrzu i błyszczące, jak „świczki.“ Audytoryum nie chce wierzyć, „jakby to mogło być,“ aby takie „z w i r z e n t a utrzymały się w górze i nie spadły,“ twierdzi ten i ów. Daremnie Matusiak zapewnia, że tak Pan Jezus dał, więc tak jest; nie może nikogo przekonać. Wtem wielka jasność ukazuje się na niebie, meteor spadł gdzieś w blizkości, kto żyw, pobiegł zobaczyć, coby to było, a tymczasem psy dopadły jedzenia i uraczyły się kaszą ze szperką, wylizawszy nawet miski do czysta. Gdy ciekawi powrócili na miejsca, oburzenie na psy było wielkie; zanim druga kolacya byłaby ugotowaną, trzebaby czekać do północy; spracowani ludzie woleli zatem spać się położyć, wymyślawszy i nadokuczawszy dobrze, komu się dało.

„Złodziej leśny“ kradł drzewo w lesie rządowym. Żona, lękająca się, aby sprawki męża nie wydały się i nie zaprowadziły go do więzienia, pracowała usilnie nad tem, aby mąż porzucił kradzieże. Przydybany przez straż, na pierwszy raz puszczony, po przyrzeczeniu, że więcej tego robić nie będzie, chłop wstrzymywał się od wypraw nocnych przez czas jakiś, ale w końcu popadł w recydywę. Pomiędzy małżeństwem przychodziło nieraz do gwałtownych scen. Raz Franek kopnął małego synka nogą, potem poszedł do karczmy. Tam spotkawszy innych złodziei leśnych, groził im, że ich wyda. Po owej awanturze nie wrócił już więcej do domu; ciało jego znaleziono w studni.

Obrazki, w które wchodzą tylko zwierzęta na tle przyrody, są najsympatyczniejsze; do takich należą: „Nasze gniazda“ i „W puszczy;“ niezaprzeczenie najlepsze to utwory p. Dygasińskiego.

A. M.

KILKA SŁÓW
o tegoczesnych stosunkach społecznych

podług rozprawy **Maxa Nordau**

napisała

E. z K. P.

I.

Jest to prawdą niezaprzeczoną, że ludzie od początku świata na rozliczne cierpienia skazani zostali. Religia uczy nas, że powodem tego było nieposłuszeństwo pierwszej niewiasty Ewy, filozofia twierdzi, że życie ludzkie jest pasmem ciągłych obłąkań i pomyłek i stąd to głównie wypływają wszystkie cierpienia ziemskie. Istnienie złotych czasów, o jakich głoszą poeci starożytni, jest mrzonką rozżalonych na los swój nieszczęśliwych marzycieli.

Ludzie po wszystkie czasy wiele cierpieć musieli, a pewna miara cierpień jest już przez ukształcenie organizmu naszego uwarunkowaną. Jak w ciemnym pokoju przekonywamy się o istnieniu ściany dopiero, gdy głową o nią uderzymy, tak człowiek nabiera najwięcej samowiedzy przez u c z u c i e b ó l u. Jednakże choć to prawdą jest, że ludzie po wszystkie czasy skarżyli się i cierpieli, to niemniejszą jest prawdą, że nigdy jeszcze ogólne niezadowolenie z losu nie było tak powszechnem i nigdy jeszcze w tak radykalnych nie objawiało się kształtach, jak w obecnych czasach.

Te złe skutki wygórowanej cywilizacyi najbardziej uczuć się dają w stosunkach ekonomicznych.

Większa część ludności w kraju nie troszczy się o kwestye nadprzyrodzone, u nich tak w i a r a, jako i w i e d z a podrzędną grają rolę; polityka także ich nie bardzo zajmuje, nie troszczą się o formę rządu, bo dla nich jest policyant i poborca cła i akcyzy przedstawicielem tegoż, lecz nie ma człowieka w krajach ucywilizowanych, któryby nie zajmował się codziennie kwestyą zarobku i używania. Bo im wyżej posuniętą jest cywilizacya, tem większe są potrzeby, i ludzie, szemrzą i oburzają się, jeśli ich zaspokoić nie mogą. To też patrzą z goryczą na tych, którym bez pracy i wysileń dostał się większy dział dóbr ziemskich, podczas kiedy oni w pocie czoła o byt swój walczyć są zmuszeni. To porównywanie oburza gwałtownie masy tegoczesnej ludności.

W czasach średniowiecznych wydawano miliony na cele religijne; w ostatniem stuleciu i do połowy naszego zajmowały się ludy ideami politycznej wolności, przy końcu obecnego stulecia rozlega się tylko wołanie o chleb pomiędzy większą częścią ludzi. Polityka stara się przez różne łamańce zagłuszyć te wołania n. p przez szczucie jednej ludności na drugą, przez wojny, kolonizacye, wystawy, przedstawienia dynastyczne, parlamentarne gadaniny i tak zwane reformy, ale ludność powraca ciągle do jedynie zajmującej ją kwestyi zarobku, bo chodzi jej głównie o to, aby przy mniej nużącej pracy miała więcej żywności i wypoczynku.

Nigdy też jeszcze nie występowało tak jaskrawo przeciwieństwo pomiędzy bogactwem a ubóstwem, jak w obecnych czasach.

Ci pisarze o ekonomii politycznej, którzy rozpoczynają swe rozprawy tym zużytym już aksyomatem, że pauperyzm tak jest dawnym, jak ludzkość cała, igrają lekkomyślnie, lub błędnie z tem zdaniem. Właściwie istnieją dwa rodzaje ubóstwa: c a ł k o w i t e i w z g l ę d n e. Całkowitem ubóstwem jest stan, w którym człowiek najrzeczywistszych swych potrzeb, przez organizm jego uwarunkowanych, zaspokajać nie może, gdy pożywienie swe osięgać musi za pomocą ciężkiej pracy, pozbawiającej go snu i wypoczynku potrzebnego mu do utrzymania się przy życiu i zdrowiu. Względne ubóstwo jest to niemożność zaspokajania potrzeb, które nie są koniecznemi warunkami życia, lecz zależą od przyzwyczajenia. Robotnik czuje się ubogim, gdy nie ma pieniędzy na wódkę i cygara; kramarka w mieście, gdy nie może kupować strojów, jakie widzi u swych zamożniejszych sąsiadek; urzędnik, gdy nie może nagromadzić kapitału potrzebnego mu na zbytkowne wychowanie i wyposażenie dzieci. Takie ubóstwo jest nietylko względne, ale subjektywne, ponieważ istnieje tylko w wyobraźni danej jednostki, a nie pozbawia koniecznych do życia warunków i nie niszczy organizmu ludzkiego. Wszakże już w starożytności grecki filozof Dyogenes usiłował przekonać ludzkość, jak mało potrzeba do życia spokojnego i swobodnego.

Patrząc ze stanowiska człowieka, w XIX stuleciu żyjącego, który stał się niewolnikiem wszystkich nawyknień i potrzeb życia ucywilizowanego, zdają nam się wszyscy nasi przodkowie względnie ubogimi, tem uboższymi, im dalej się myślą wstecz cofamy. Ubiory dawnych ludzi były

grubsze i nie tak często, jak dziś, zmieniane, mieszkania skromniejsze, narzędzia prostsze, pożywienie gorsze. Jednakże to względne ubóstwo nie ma w sobie nic tragicznego; chyba jaka strojna dama tegoczesna może to uważa za coś smutnego, że kobieta z rasy Eskimosów odziewa się od zimna skórą z psa morskiego, zamiast płaszczykiem z bławatów, lub aksamitu.

Całkowite fizyologiczne ubóstwo powstaje jedynie, jako ciągły objaw w skutek wygórowanej cywilizacyi. W stanie natury, a nawet przy nizkim stopniu umoralnienia jest ono niemożliwem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jak żywić niemowlęta i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 9.)

Z tych liczb zatem następujące wolno poczynić wnioski:

a) jeśli niemowlę, w odpowiednią wagę (około 7 funtów) po przybyciu na świat wyposażone i zdrowe — dobrze się cielesnie rozwija, natenczas powinno przybierać codziennie na wadze, w pierwszych pięciu miesiącach o 25, w następnych zaś o 15 gramów. Zważone pod koniec piątego miesiąca, powinno jeszcze raz tyle, po szesnastu zaś miesiącach, cztery razy tyle ważyć, co pierwotnie (po przybyciu na świat) ważyło,

b) jeśli niemowlę w regularnych czasu odstępach ssie silnie, nie zasypiając co chwila, natenczas powinno po każdem przyjęciu pokarmu wykazywać na wadze przybytek od 80—100 gramów ($2^1/_2$ uncyi). Mniejsza liczba — około 50 gramów — przez dłuższy przeciąg czasu przyjmowanego pokarmu, równoczesne objawy nieporządku w trawieniu wskazywać nam będą, że pokarm jest niedostatecznym i że zmienionym być musi.

W takim razie wypada przede wszystkiem zwrócić całą uwagę na karmiącą — i dopilnować, aby ona więcej i to dobrego wytwarzała pokarmu. Skoro to uzyskać się nie da, a niemowlę dopiero kilka liczy tygodni, natenczas, jeśli tylko można, wypada postarać się o wyszukanie innej, odpowiedniej żywicielki.

Gdy owę niedostateczność pokarmu dla starszego już niemowlęcia — i u karmiącej własną piersią matki — zauważymy, natenczas nie koniecznie wypadnie tejże szukać zastępczyni. Może ona uzupełnić pokarm własny pożywieniem sztucznem, i to zadając je niemowlęciu na przemian w regularnych czasu odstępach. Tak samo wyręczać się może matka karmiąca, która jest zniewoloną od czasu do czasu dom własny opuszczać.

Jakie sztuczny ów pokarm dla niemowląt mieć koniecznie winien własności, postaramy się tu przedstawić w najściślejszych granicach, i to nietylko, gdy tenże ma służyć do wyręczenia, uzupełnienia na czas pewien pokarmu matki, ale, co ważniejsza, gdy zupełnie ma ją zastąpić, skoro jej nie pozwalają okoliczności wybrać sobie żywicielki — i gdy zaraz z początku karmić nie może, albo nie chce.

„Nie jestem zwolennikiem sztucznego karmienia dzieci, powiada Dr. Weitzenblut*), pomimo dość licznych faktów, świadczących o możności przeprowadzenia tego systemu i pomimo budującej statystyki, podanej niedawno przez Dra Falger z Monasteru, wykazującej, że w południowych Niemczech ogromna ilość dzieci sztucznym sposobem zdrowo i pomyślnie odchowaną została. Pod tym względem podzielam zupełnie zdanie profesora Fonssagrives, wedle którego sztuczne karmienie zawsze jest próbą, wymagającą nietylko czasu, kosztów i ciężkich mozołów, ale nadto wielkiej czujności i bezwarunkowego poświęcenia się; trzeba, jak uczony ten hygienista powiada, aby każda kropla mleka, podana niemowlęciu, troskliwością matki zaprawioną była.

Matka, która zmuszoną jest sztucznie przyrządzonym pokarmem dziecię swoje wychować, powinna sama się zająć każdym szczegółem tyczącym się pożywienia, powinna troskliwie uważać, jak się odbywa trawienie i jak wszystkie inne funkcye dokonywają się przytem. Biada niemowlęciu, jeśli te ważne obowiązki obcym rękom poruczone zostały, bo jeżeli nawet uda się je odchować, organizm jego bardzo często nosi na sobie piętno choroby i niedołęztwa.“

Jak doniosła jest kwestya sztucznego żywienia niemowląt, niech posłuży wzmianka, iż ona zajmuje obecnie umysły lekarzy wszystkich krajów. Nad przedmiotem tym toczyły się i toczą rokrocznie rozprawy na zjazdach lekarskich. Rozliczne prace pojedyńczych lekarzy różnych narodowości podają nam środki zastępcze mleka matki, owego najnaturalniejszego i najodpowiedniejszego pożywienia niemowlęcia.

Co do środków zastępczych, to one nieraz dziwne przechodziły koleje. Każdorazowe pojawienie się nowego środka przyjmowano z wielkim zapałem i sądzono, iż to jemu jedynie ważne to zdanie bezpiecznie poruczyć będzie można. Po upływie przecież niejakiego czasu, po sumiennych, dokładnych i licznych doświadczeniach zmieniła się postać rzeczy i nastąpiło rozczarowanie! Przekonano się często, jak to później wyczytamy, że środek ów zachwalony nietylko nie żywił dostatecznie niemowlęcia, ale że był dlań szkodliwym, a nawet zabójczym. — Wobec takich wypadków postanowiono w 1879 roku w sekcyi pedyjatrycznej zjazdu w Kassel wybrać komitet, któryby się tą sprawą zajmował i następnie swe sprawozdanie przedłożył na jednym z przyszłych zjazdów.

Z zadania tego wywiązał się w imieniu komisyi po raz pierwszy Dr. Steffen, lekarz dzieci, w Szczecinie zamieszkały, który na zjeździe lekarzy i przyrodników w Salzburgu w roku 1881 obszerne sprawozdanie o sztucznem żywieniu dzieci przedłożył. Nad referatem tym komisyjnym długie toczyły się rozprawy, jako nad kwestyą wielkiej doniosłości. Uznano, że obowiązkiem jest lekarzy dzieci chodzić około zdrowotnych spraw świata dziecięcego, starać się głównie o to, aby, ile to być może, zmniejszać śmiertelność dzieci, które przeważnie umierają na cierpienie przewodu pokarmowego. Staraniem lekarzy być powinno, aby matki pomne na własne swe zdrowie i zdrowie swych dzieci same je karmiły, jeżeli zaś źródło naturalne nie wystarcza na wyżywienie niemowlęcia, lub zupełnie zanika, natenczas winno ono być zastąpione mlekiem bydlęcem. Środki zastępcze, do odżywienia służyć mające, któremi targ zalewają, nietylko, że nie zasługują na polecenie, lecz odradzać należy od ich używania. Na następnych sześciu zjazdach lekarzy i przyrodników niemieckich kwestya żywienia sztucznego niemowląt była odtąd stałym przedmiotem żywych rozpraw w sekcyi lekarzy dzieci.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Dr. Weitzenblut op. cit. (zob. str. 38 „Domu polskiego“). Strona 126.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Ku uczczeniu 40-letniego jubileuszu cesarza Franciszka Józefa urządzoną i d. 3 marca uroczyście otworzoną została w Wiedniu, na Lothenstrasse, w tak zwanym „pałacu artystów“ międzynarodowa wystawa obrazów, rzeźb i architektury. Wystawa ta jubileuszowa dzieli się na dwa działy: na wystawę historyczną, która obejmuje znakomitsze utwory niemieckich artystów z ostatniego półwieku, jak: religijnego malarza Führicha, rodzajowego Waldmüllera, historycznego Canona, wreszcie Makarta i naszego Artura Grotgera.

Drugi dział obejmuje cenniejsze dzieła artystów żyjących. Samo się przez się rozumie, że najliczniejszych przedstawicieli mają tu Niemcy.

Z innych narodów licznie także reprezentują swych sztukmistrzów Włosi, Hiszpanie i Szwedzi; Francya usunęła się zupełnie od udziału w wystawie.

Najobfitszy w utwory jest dział malarstwa portretowego. Zwraca tu uwagę portret księżnej Sapieżynej Horowitza, portret panny Kürschner, nowelistki, piszącej pod pseudonimem Ossipa Schubina, której „Willę Erlach“ drukujemy właśnie, wykonany przez Gassowa, a imponujący świetnością kolorytu; także portret kanclerza Bismarka Lenbacha.

W dziale malarstwa historycznego wyróżniają się dwa obrazy bitew naszego Wojciecha Kossaka, które nawet u krytyków niemieckich zyskały wysokie uznanie.

Wreszcie dodać należy, że i mistrz Matejko przysłał na jubileuszową wiedeńską wystawę dwa utwory: „Pieśń,“ wyobrażającą symboliczną figurę z „Joanny d'Arc,“ i fantastyczną główkę dziewczęcia.

„Kłosy“ w przedostatnim swym numerze (1185) podały ilustracye wszystkich projektów do mającego się wznieść w Krakowie pomnika wieszcza Adama. Temi są: projekt Godebskiego z pierwszą nagrodą, Rygiera z drugą, Gadomskiego z trzecią, Trębickiego z listem pochwalnym. W tymże numerze znajduje się na wstępie życiorys Cypryana Godebskiego pióra p. Seweryny Duchińskiej.

Trzeba mieć nadzieję, że wreszcie po tylu niefortunnych usiłowaniach wzniesienie pomnika przyjdzie do skutku.

Znany powszechnie, znakomitej poetyckiej wartości utwor Lamartina, „Jocelyn,“ przerobiony został na scenę, jako opera. Muzykę napisał p. Benjamin Godard, libretto w 4 aktach obrobili pp. Armand Silvestre, znany poeta, i Wiktor Capoul, śpiewak. Przedstawienie „Jocelyn'a“ po raz pierwszy w Bruxeli wywołało rozmaitą bardzo ocenę i stąd polemikę tak wśród prasy paryzkiej, jako i belgijskiej; jedni recenzenci wynoszą pod obłoki, inni potępiają w czambuł brukselską premierę. Jakbądź, frenetyczne oklaski i entuzyazm towarzyszyły pierwszym przedstawieniom sztuki na scenie brukselskiej, a samę krolową belgijską żywo zainteresował nowy, ostatni utwor p. Godarda; raziła ją tylko sutanna Jocelyna, to też zaraz po pierwszem przedstawieniu wydała krolowa rozporządzenie, aby ją zamieniono na kostyum, jaki przybierali na scenie średniowieczni księża. Artysta Engel, jako Jocelyn, i artystka Caron, jako Lavrencya, przyczynili się grą świetną do sympatycznego przyjęcia przez publiczność w mowie będącej premiery.

J. Massenet, zaproszony przez dyrekcyą teatrów warszawskich do uczestniczenia w premierze opery „Manon,“ odmówił zaproszenia, dając za powód konieczność bytności swej w Marsylii na pierwszem przedstawieniu „Herodyady.“

†

Dnia 24 marca, w sobotę, o godzinie 8½ z rana, zakończył życie po długich, bolesnych cierpieniach opatrzony sakramentami św. p. **Kazimirz Jarochowski.** Dziś cała Polska, opłakując ciężką, niepowetowaną stratę Zmarłego, rozpamiętywa zarazem zasługi jego na obszernem polu pracy narodowej, jako znakomitego historyka, publicysty, literata, dziennikarza, wieloletniego członka „Towarzystwa przyjaciół nauk,“ wreszcie posła na sejm pruski, z którą to godnością łączy się najtrudniejsza zarazem, najniewdzięczniejsza dziś może, ale jednocześnie najszczytniejsza godność obrońcy praw naszych najświętszych: wiary i języka ojczystego. — Historya literatury oceni kiedyś — jak przynależy — obszerne, gruntowne, głębokich studyów, ogromnych zdolności, ale zarazem i niezmordowanej pracy, wytrwałości dowodzące utwory jego dziejowe, ale nie zliczy nigdy jego artykułów, tryskających prawdą, przemawiającą do przekonania, napiętnowanych bystrością, siłą i energią, co budzi z letargu do życia, z uśpienia do czynu.... artykułów, co uczyły, krzepiły, doświadczoną radą wspierały, wiarę i nadzieję w zwątpieniu rodziły, a któremi w pierwszym rzędzie zasilał „Dziennik poznański“, jako stały jego współpracownik, dalej: „Kraj“, „Przegląd polski i lwowski,“ „Ateneum“, „Gazetę i Bibliotekę warszawską“. I nasze pismo zawdzięcza niezmordowanemu temu na polu piśmiennictwa ojczystego pracownikowi cenny artykuł w pierwszym swoim numerze p. t. „Dom polski“, w którym tak pięknie określił zadanie „domu i rodziny“, nawołując do przechowywania w ich łonie i otoczeniu Żnicza narodowego kultu, którego nam tutaj nikt zgasić nie potrafi, a przetrwamy zwycięzko, co nam zagrażać się zdaje niezawodną klęską!... „Wiara i wytrwałość! — w tym znaku wytrwajmy, a przetrwamy!“ — oto ostatnie słowa owego artykułu wstępnego, a zarazem hasło nasze i zachęta do dalszej, choć mozolnej pracy!...

Nie mamy zamiaru głosić tutaj i oceniać wielkich zasług św. p. Kazimirza Jarochowskiego, bo — wyznajemy w pokorze ducha — nie podołalibyśmy trudnemu zadaniu; niech raczej godniejsze od naszego pióro biegłego biografa skreśli pracowity, w podniosłe narodowe cnoty bogaty żywot zasłużonego męża-patryoty; myśmy pragnęli tylko zaznaczyć na tem miejscu cześć dla pamięci Zmarłego, w kilku z duszy, łez i boleści pełnej, płynących wyrazach złożyć hołd nauce, pracy, zasługom i cnotom niestrudzonego pracownika i dzielnego szermierza na polu walki narodowej — wyrazić wreszcie żal nasz serdeczny, nieutulony, że z pola tej walki odwołał go Bóg właśnie w chwili burz srogich, co szaleją nad smętną ziemią naszą, w czasie gromów, co biją bezustannie w nawę ojczystą, by ją zdruzgotać i zatopić; w czasie nocy ciemnej, gdy ani jedna nie przyświeca gwiazda, gdy tem większa potrzeba biegłych, światłych sterników, przewodników z sercem i rozumem.

Wszystkim Szanownym Współpracownikom, Czytelnikom i Przyjaciołom „Domu polskiego“ przesełamy serdeczne życzenia wesołego Alleluja — o ile to podobnem wśród klęsk ogólnych i ogarniającej stąd serca i umysły apatyi. Ufajmy miłosierdziu Bożemu, że zle wkrótce minie i wypogodzi się horyzont życia, nad którym dziś tak groźne, ołowiane rozpostarły się chmury!

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.